

14 w 2020 (240)

Zdalne Koło Filmowe: 7 tytułów do zobaczenia z Zastępem Zastępowych

Data publikacji: 23.03.2020 / Autor: Redakcja

„Jedną z potężnych pokus jest pokusa sali kinematografu. Kinematograf ma bez wątpienia olbrzymią siłę przyciągającą dla chłopców i ludzie nieraz stukają się w głowę, jak jej przeciwdziałać. Ale jest to jedna z tych rzeczy, której bardzo trudno zapobiec, choćby to nawet było całkiem pożądanym. Sprawa polega raczej na tym, jak najlepiej wykorzystać kinematograf dla naszych celów. (...) Według zasady pokonywania wroga jego własną bronią, spróbujemy rozważyć, jaką wartość przedstawia kinematograf i jakie przed nim leżą możliwości, a następnie zużytkujemy go do celów wychowania chłopca” – Robert Baden-Powell, Wskazówki dla skautmistrzów

Te słowa założyciela skautingu twórczo rozwija wielu instruktorów, szczególnie zajmujących się wędrownikami. Dlatego dziś, w sytuacji przymusowego przeniesienia harcerskiej aktywności do domowego zacisza, zebraliśmy dla Was kilka filmów, które naszym zdaniem warto obejrzeć razem z ZZ-tem lub wędrownikami. Oczywiście każdy we własnym zakresie. Wybierzcie więc coś, co zajara chłopaków i zbierzcie się wspólnie w internetach, by przedyskutować te tytuły.

[O tym jak zorganizować Dyskusyjny Klub Filmowy pisaliśmy wczoraj.](#) Dziś nasza specjalnie powołana grupa zadaniowa postanowiła wybrać siedem propozycji.

Imperium Słońca, reż. Steven Spielberg, 1987

Dyzma Zawadzki

Zastanawialiście się kiedyś, jak wyglądałoby dzieciństwo Batmana, gdyby istniał naprawdę? W tym spin-offie Mrocznego Rycerza Christian Bale odwiedza Szanghaj oraz Japonię i przechodzi prawdziwą szkołę życia. A tak bardziej na poważnie – w kategorii filmów chłopięcych dzieło to można śmiało postawić na półce obok dzieł takich jak wyciskający łzy „Oliver Twist” i „Chłopiec w pasiastej piżamie”. W kategorii filmów wojennych jest to zaś obraz zupełnie wyjątkowy.

Nie dość, że traktuje o chłopcu, który musi sobie poradzić w niecodziennej sytuacji spowodowanej największym konfliktem w dziejach ludzkości, to jeszcze nie ma tu

wiele o działaniach wojennych, a wisienką na torcie jest osadzenie akcji w marginalizowanym często okresie i rejonie – tj. w ogarniętych wojną Chinach i Japonii. Doskonały lek na powszechny w polskiej i zachodniej historiografii europocentryzm (warto pamiętać, że 1 września 1939 roku to bardzo umowna data na oznaczenie początku II Wojny Światowej, tylko trochę lepsza od 22 czerwca 1941 roku i wcale nie lepsza od 7 lipca 1937 roku, a Chińczyków zginęło podczas wojny według różnych szacunków od 15 do 20 milionów).

Zawsze jednak należy pamiętać, że w pracy harcerskiej edukacja nie powinna być na pierwszym miejscu, najważniejsze jest kształtowanie charakteru (czyli najważniejsza część procesu zwanego wychowaniem). A właśnie charakter Jima, wykreowanego przez genialnego Christiana Bale, jest głównym bohaterem filmu. Uwaga, w dalszej części recenzji jest kilka spojlerów, nie dotyczących jednak głównego wątku fabularnego, więc bez większej szkody można czytać dalej!

Młody Jim, który w tragicznych okolicznościach zostaje odseparowany od rodziców i wyrwany z życia, jakie do tej pory zwykł prowadzić, zaczyna swoją ścieżkę jako chłopiec wcale nie idealny, bo rozpuszczony i nieco roszczeniowy. Oczywiście, jako dziecko budzi naszą sympatię, ale skupiony jest głównie na sobie. Niemal przez cały film jest wystawiony na przeróżne pokusy, z którymi radzi sobie lepiej lub gorzej, co uświadamia nam, jak istotna jest obecność rodziców w krytycznych momentach rozwoju dziecka.



Imperium Słońca (fot. z materiałów producenta)

Prócz głównego wątku, film pełen jest perełek, takich jak niezwykle ujmująca scena, w której powstaje nić porozumienia między Jimem, zafascynowanym samolotami, a młodym japońskim pilotem. Pierwszy kibicuje Amerykanom i ich pięknym maszynom, niejednokrotnie deklarując, że Mustang to nie tylko najlepszy, ale i najpiękniejszy statek powietrzny, drugi staje wobec obowiązku obrony swojej ojczyzny przed barbarzyńskimi nalotami w wykonaniu wspomnianych Jankesów. Także sceny z udziałem sierżanta Nagaty ukazują widzowi dobrego człowieka, stojącego po tej „złej” (z naszej perspektywy) stronie.

Postać wykreowana przez Johna Malkovicha ma z kolei wiele wspólnego z dickensowskim Faginem. Jim do końca opowieści jest rozdarty między nim, a przypominającą mu matkę panią Victor. Te dwie postaci ilustrują też zderzenie światów, do jakiego doszło w wyniku wojny – pełnego elegancji i uporządkowania przedwojennego życia z brutalną nowoczesnością, która silnym uderzeniem (dosłownie) zamyka ostatni i najdłuższy akt filmu (to, co następuje dalej, jest moim zdaniem już epilogiem).

W skrócie: obok Imperium Słońca nie można przejść obojętnie, to Spielberg w swojej najwyższej formie!

PS. film jest ekranizacją autobiograficznej książki, autorstwa J.G. Ballarda. Nie miałem jeszcze okazji jej przeczytać, ale na pewno kiedyś to nastąpi.

Generał NIL, reż. Ryszard Bugajski, 2009

Jakub Kuciak

Moja drużyna imię generała Augusta Emila Fieldorfa “Nila” zdobywała, kiedy ja sam byłem jeszcze zastępowym. Był to więc dla nas czas dokładnego poznawania jego losów. Jakież było moje zdziwienie, gdy na jednej z rad ZZtu oglądając po raz pierwszy film “Generał NIL”, ujrzałem scenę gdzie Fieldorf, jeden z bardziej znanych Żołnierzy Wyklętych, mówi, że nie warto kontynuować walki z komunistami, a bardziej niż żołnierzy, Polska potrzebuje lekarzy i nauczycieli.



Generał NIL (fot. z materiałów producenta)

Film opowiada ostatnie lata z życia generała – zamach na Kutschera, zsyłkę i powrót do Polski z Sybiru, życie z żoną i córkami, namawianie przez komunistów do współpracy, odmowę i aresztowanie. I tu kolejna scena dla której warto ten film obejrzeć z młodymi chłopakami – Nil na prośbę córek i żony pisze list do prezydenta z prośbą o ułaskawienie.

Mamy więc film o wojskowym, opowiadający o wojnie, a zarazem tak bardzo odbiegający od kina wojennego. To nie jest tak, że Ci dobrzy, strzelają do złych i koniec. To jest film będący idealnym wstępem do dyskusji na tematy takie jak honor, patriotyzm, odwaga czy odpowiedzialność. Słowa które rozpalają nasze romantyczne myśli, a zarazem kryją za sobą zawsze jakąś cenę.

Black Hawk Down, reż. Ridley Scott, 2001

Bruno Zawadzki

Będący drużynowym, miałem już okazję wybrać się z ZZ-tem na noc/wieczór filmowy. Mam też doświadczenia z wcześniejszych lat, gdy to ja występowałem w roli zastępowego, przybocznego. Film, który przedstawię poniżej, miał największą moc oddziaływania ze wszystkich. Zapraszam!

“Black Hawk Down” z 2001 roku (czy w polskiej wersji – “Helikopter w ogniu”) to prawdziwy “must see” dla każdego, kto chce pełnić jakąś funkcję w naszej Organizacji.

Historia 160 amerykańskich żołnierzy, którzy lądują na długie godziny w środku “gniazda szerszeni”, jakim możemy określić stolicę Somalii, Mogadisz w 1993 r. Kilka tysięcy rozwścieczonych somalijczyków, którzy od wielu tygodni czekali, aż dowództwo amerykańskie popełni ten błąd i da się wciągnąć w bezpośrednią walkę na nieznanym dla siebie terenie. Żołnierze z dwóch elitarnych jednostek – piechoty rangersów i komandosów Delta Force – dostają proste zadanie: ująć współpracowników [Mohameda Farraha Aidida](#) – rzezimieszka stojącego na czele klanu, przejmującego żywność ONZ przeznaczoną dla głodujących somalijczyków. Presja ze strony Waszyngtonu i nacisk na szybki sukces, sprawiają, że plan akcji nie jest dopracowany i bazuje na wiedzy “ulicznych” informatorów. Żołnierzom udaje się przeprowadzić sprawną akcję przejęcia wielu ważnych zakładników, jednak problem pojawia się, gdy trzeba wydostać się z miasta. I od tego momentu ten film to jedno wielkie pole walki.



Black Hawk Down (fot. z materiałów producenta)

Reżyser filmu, Ridley Scott ("Obcy", "Blade Runner", "Gladiator"), ma konkretną koncepcję na opowiedzenie tej historii. Nie ma głównego bohatera. Wybitni aktorzy (Hartnett, McGregor, Eric Bana, młody Orlando Bloom) wtapiają się w szereg "ogolonych głów", a gdy dochodzą do tego kurz przylepiający się do twarzy i hełmy przysłaniające oczy, ciężko nam rozróżnić poszczególne postacie. Dzięki temu, nie musimy pochodzić z Teksasu czy Minnesoty, żeby utożsamić się z bohaterami.

Taki zabieg mógłby wprowadzać chaos, mieszać wątki, jednak doświadczony reżyser trzyma tempo. Akcja płynie wartkim strumieniem, podtrzymywana przez doskonałą muzykę Hansa Zimmera, łączącego wojskowy marsz, afrykańskie brzmienia i melancholię. Doskonała gra światłem i zdjęciami naszego rodaka - Sławomira Idziaka - wprowadzają nas w klimat, który zapamiętamy na długo. Ciężko też oprzeć się wrażeniu, że wiele filmów wojennych naśladuje później ten styl.

Zdecydowanie nie jest to film typowy dla amerykańskiej kinematografii wojennej. Nie ma tutaj wbijanego na siłę przekazu o tym, jak wojna jest zła oraz, że Waszyngton, to chciwi politycy, zależy im na pieniądzu i zabijaniu. Nie ma też plastikowego patosu, herosów ścinających przeciwników jak zboże. Wszystko jest utrzymane w realizmie pola walki, a każda scena, to wierne odwzorowanie rzeczywistości. Jest tutaj krytyka prezydenta George'a Busha, są emocjonalne przemowy, jednak nic z przesadą. Nie ma też demonizowania drugiej strony - dialogi między żołnierzami z obu stron barykady, są naprawdę interesujące, somalijczycy mają wiele do powiedzenia.

Ridley Scott osiągnął tutaj złoty środek, wyciągnął z wojny to, czego nie dostrzegamy między przekazami medialnymi i zdjęciami z pola walki. Głównym bohaterem jest tu każdy żołnierz. Walczą nie tylko, żeby wykonać rozkaz. Walczą przede wszystkim za kolegę.

Gdy pole walki ogarnia chaos, dni spędzone na wygodnym łóżku i nowoczesny sprzęt przestają mieć znaczenie. Gdy wszystko, na czym mogliśmy polegać, zawodzi - wtedy kluczowe jest to, jak dobrze działają żołnierze w małych grupach.

Każdy zna swoje miejsce - generał Garisson (drużynowy?) obserwuje wszystko z boku, ale to nie oznacza, że nie walczy. Również podejmuje ciężkie decyzje, próbuje się dostosować do kolejnych wypadków. Pięknym gestem jest prosta scena wytarcia przez niego krwi w szpitalu - świadomość poświęcenia swoich żołnierzy i próba oddania im czci.

Chaos był w wojnie od zawsze. Praca kamery w tym filmie doskonale to obrazuje. A na czym można polegać w chaosie? Na jednostkach, które współdziałają z innymi. Na polu walki jest wiele zmiennych, dlatego decyzje pojedynczych żołnierzy są kluczowe. Każda decyzja niesie za sobą konsekwencje.

Oprócz doskonałego współdziałania, ważne jest również braterstwo – to wszystko pozwala utrzymać się oddziałom amerykańskim, mimo że dysproporcja wobec sił przeciwnika jest ogromna. Dowódcy, wobec braku wskazówek, muszą wykazać się własną inicjatywą.

Czy to nie idealny przykład dla naszych zastępowych?

“(...)Bo oni nie rozumieją. Nie rozumieją, że tu chodzi o kolegę. Tylko to się liczy...”

Najbardziej w tym filmie lubię zamknięcie. Pomimo tylu razy, za każdym razem mam dreszcze i odkrywam na nowo znaczenie każdej wypowiedzi. Nie będę wam zdradzał jak ono wygląda, bo liczę, że są jeszcze tacy, którzy tego filmu nie obejrżeli.

Każdy z Was, czytelnicy, sam ostatecznie oceni, czy tego wasz ZZ-t potrzebuje, ale nawet jeśli nie – zachęcam do zapoznania się z tą pozycją, bo zdecydowanie – warto!

Wybrzmiewające na koniec hasło – “Leave No Man Behind” – powinien zapamiętać każdy drużynowy...

Blues Brothers, reż. John Landis, 1980

Marcin Gierbisz

Jeżeli miałbym jakiemuś harcerzowi polecić zobaczenie tylko jednego filmu w życiu, to powiedziałbym, że powinien zobaczyć wiekopomne dzieło początku lat 80, epepeję o dwóch braciach, co chcieli dobrze, ale dobrze nie potrafili postąpić. Blues Brothers.

Dlaczego to niby warty zobaczenia film, zapytacie. Nie jest to przecież obraz o trudzie wojny, nie jest to biografia ważnej historycznej postaci, nie poznamy historii Polski, nie uczymy bohaterów, nie ma w nim wiele powagi. Jest za to dwóch typów w czarnych marynarkach i kapeluszach, którzy nawet w pomieszczeniach noszą okulary przeciwsłoneczne. I stać ich na wszystko. Tak, na wszystko. I jest to komedia. Muzyczna. Jednak twierdzą, wręcz zarzekam się, że można po tym filmie zostać mądrzejszym zastępowym, jak nie drużynowym. Ten tekst zawiera śladowe ilości spoilerów.

Wyobraź sobie, że właśnie wychodzisz z więzienia. Pod bramą czeka na Ciebie Twój własny, rodzony brat. Wiezie Cię przez pół miasta i mówi: stary, obiecałeś tej starej zakonnicy, że odwiedzisz ją w sierocińcu tego samego dnia, jak wyjdiesz z paki. No tak, bo wychowywałeś się w domu dziecka. No i wiadomo, obiecałeś, ale lekko

nagięteś prawdę, wcale nie chciałeś, ale ok, idziesz. Siostra na start mówi Wam, że sierociniec zostanie zamknięty, jeżeli nie zbierzecie pieniędzy. No to co robisz? Jeżeli na imię masz Jake lub Elwood, a na nazwisko Blues, to zbierasz swój stary zespół muzyczny i postanawiasz ruszyć w trasę koncertową. Przy okazji narażając się praktycznie wszystkim dookoła.



Blues Brothers (fot. z materiałów producenta)

Ten film ma wszystko: barwne postaci, klasyczne teksty, nazistów z Illinois, pościgi, niezapomniane hity, mordercę czyhającego na głównych bohaterów, znanych muzyków w drugoplanowych rolach i Stevena Spielberga tym razem nie za kamerą, a za szybą w urzędzie.

Dlaczego jednak ten film może być jakimkolwiek przyczynkiem do dyskusji? Cóż, bracia Blues ruszają na ważną misję, misję daną im od Boga – mają uratować sierociniec. Jednak nigdy nie zdradzają celu tej misji swojemu zespołowi. Wabia ich podstępem lub wykorzystują ich zaufanie i wciągają w swoją grę. Wszystko w dobrym celu. Czy tak jednak powinien zachowywać się dobry przywódca? Czy to nie jest manipulacja? Czy ich czyny można określić jako dobre?

Druga rzecz, istotna do omówienia, to sama postawa braci. Gdzie nie wejdą, tam mnożą sobie wrogów. Czy słusznie czynią w scenie z nazistami z Illinois? Czy zachowują się fair w country bunkrze Boba wobec drugiego zespołu? Czy ich sposób na załatwienie sobie trasy koncertowej jest w porządku? Kiedy ich działania są akceptowalne, a kiedy nie? Czy mogli zastosować inne rozwiązania?

To film, który podszyty jest jednym ważnym pytaniem: na co może sobie pozwolić ktoś, kto stoi na czele grupy i podąża za ważnym dla niego celem? A przy okazji to dobra zabawa.

Daję Znak Jakości Azymutu. Czy ktoś inny, z zebranej tu zacnej grupy polecaczy, dał taki znak swojemu filmowi? Nie sędzę.

Przełęcz ocalonych, reż. Mel Gibson, 2016

Jakub Kuciak

Reżyser Pasji, Apocalypto i Braveheart'a, tym razem wziął na warsztat historię Desmond Dossa – żołnierza który z powodu swoich poglądów odmówił noszenia broni i zabijania, a jednocześnie został odznaczony Medalem Honoru, najwyższym odznaczeniem wojskowym w Stanach Zjednoczonych.

Zarówno harcerz jak i wędrownik, nie raz znajdzie się w sytuacji, gdzie będzie miał do wyboru pójść z prądem za grupą, albo stanąć w obronie swoich wartości czy innej osoby. Czasem z konfrontacji wyjdzie zwycięsko, a czasem nikogo nie obroni a jeszcze sam mocniej oberwie.



Przełęcz ocalonych (fot. z materiałów producenta)

Jednak i w życiu dorosłym takich sporów nie brakuje. Ot dla przykładu Desmond Doss chce spełnić swój obywatelski obowiązek biorąc udział w wojnie, ale zarazem jako gorliwy adwentysta dnia siódmego, nie ma zamiaru wziąć broni do ręki, a tym bardziej z niej korzystać. Opcje więc ma dwie: albo zrezygnować ze swojego obowiązku i odejść z armii, albo postąpić wbrew swojej wierze i zabijać. Desmond wybrał trzecią, najtrudniejszą drogę – pozostając wierny swoim przekonaniom, jako sanitariusz uratował wielu ludzi i to z obu stron konfliktu.

Na koniec warto dodać, że sam film stoi po prostu na wysokim poziomie.

Ojciec i syn, reż. Paweł Łoziński, 2013

Marcin Gierbisz

- Kurna, co ty mi tu pieprzysz o tym... rozumiesz - znaczy pieprzysz, mówisz, no - że nauczyłem Cię, rozumiesz, jazdy samochodem, rozumiesz, sklecania dowcipów, lutowania i takich tam, wiesz, pierdół. To jest normalne. Ale gdyby to tylko do tego

się miało sprowadzić, to [motyla noga] ja, wiesz, poniosłem klęskę.

[...]

- A czego byś mnie chciał nauczyć?

Dwóch uznanych dokumentalistów, Marcel i Paweł, ojciec i syn, rusza w trasę. Dwóch dorosłych facetów. Z dziećmi, z rodzinami, które zostały w domach. Z początku nie wiadomo gdzie jadą i w jakim właściwie celu, choć wiadomo, że to nie jest zwykła wycieczka. To nie jest też prosta relacja i rodzina, gdzie wszystko przebiegało idealnie. Ale czy są też takie rodziny?

Ten dokument, to rozmowa o wychowaniu, o rodzinie, o relacjach z kobietami, tożsamości i... różnych spojrzeniach na te same sytuacje. To ostatnie wiąże się szczególnie z procesem, który stoi za produkcją tego filmu. Marcel i Paweł Łozińscy wyruszyli we wspólną podróż, razem nagrali ją, ale gdy doszło do zmontowania materiału – poróżnili się. Stąd dwie osobne wersje filmu: polecana tutaj przeze mnie „Ojciec i syn”, produkcji syna, oraz „Ojciec i syn w podróży”, produkcji ojca.



Ojciec i Syn (fot. z materiałów producenta)

Choć oba filmy zawierają te same sceny, to konkretne zabiegi (cięcia w pewnych dyskusjach, ukazanie/pominięcie niektórych sytuacji, sam układ opowieści etc.) wpływają inaczej na widza, wywołują różny odbiór niektórych momentów – zobaczenie obu produkcji oraz dyskusja o różnicach i skąd mogą wynikać, może być więc dodatkowo ciekawym eksperymentem. Z pozycji zastępowego, warto jednak zacząć od produkcji syna. Żywszej, krótszej, czystszej, mniej eksperymentalnej, ale przede wszystkim – pewnie bliższej punktowi widzenia, który dziś nasi zastępowi mogą mieć względem swoich ojców. Bo z pozycji dziecka chcącego się czegoś więcej dowiedzieć o swoim rodzicu.

W tym filmie ścierają się dwa poglądy, dwa podejścia do budowania relacji. „Ojciec i syn” jest wyjściem do rozmowy o tym, jak my patrzymy na to, jak powinna wyglądać rodzina, jaka jest rola mężczyzny względem żony czy dzieci, jaka jest rola związku, czy jesteśmy skazani na to, by powielać działania naszych rodziców.

„Ojciec i syn w podróży” to z drugiej strony obraz tego, z czym ojciec musi się

zmierzyć, czy tego chce czy nie. O tym, jak kiedyś na ojca będzie patrzył syn, nawet wtedy, gdy rodzic chce robić dobrze (i – co więcej – myśli, że tak robi). A przede wszystkim o tym, jak rodzic patrzy na swoje dziecko. Zupełnie inna opowieść. Choć to sceny z tych samych kamer, często te same. Tylko... trochę inne.

Oba filmy można zobaczyć za darmo w zbiorach Niniateki:

[Ojciec i syn, reż. Paweł Łoziński](#) (tytułowy syn)

[Ojciec i syn w podróży, reż. Marcel Łoziński](#) (tytułowy ojciec)

Dzień świstaka, reż. Harold Ramis, 1993

Dyzma Zawadzki

Czy postawilibyście pieniądze u bukmachera, gdyby pies wytypował wynik meczu? Wiadomka, ja też, ale świstak przewidujący pogodę to już chyba przesada...

Bohaterem tego filmu jest Phil, znany też jako Bill „Kamienna Twarz” Murray, pogodynka, którego współpracownicy i przygodni znajomi nie darzą sympatią (co mnie osobiście dziwi, bo jak Billa nie kochać?). Mamy też piękną Andie MacDowell, która ze swoim pięknym uśmiechem znacznie bardziej nadaje się na pogodynkę, co ci Amerykanie sobie myśleli?

Nasz bohater wyjeżdża na głęboką prowincję, do miasteczka będącego Berdyczowem Stanów Zjednoczonych, by transmitować sympatycznego tytułowego gryzonia przewidującego, zgodnie z wieloletnią tradycją, jak szybko nadejdzie wiosna (możecie się śmiać z tej tradycji, ale to Wy wrzucacie do jeziora harcerza wchodzącego w koszulce na pomost po to, żeby nabrać wody do mycia).

Mamy więc dwóch Murrayów, oczy Andie MacDowell i uroczego świstaka, czyli przepis na doskonałą komedię. A gdy Phil orientuje się, że z uroczego miasteczka nie będzie tak łatwo wyjechać, beczka śmiechu wybucha nam prosto w twarz.



Dzień świstaka (fot. z materiałów producenta)

„Dzień świstaka” jest niemal idealny jako przyczynek do dyskusji. Po napisach

końcowych bowiem każdy zaczyna się zastanawiać, co by zrobił, gdyby znalazł się na miejscu Phila. Można puścić wodze fantazji: co zrobilibyśmy, gdybyśmy mieli szansę przeżyć wczoraj raz jeszcze, bez żadnych konsekwencji. Jakie pragnienia odkryłaby w nas taka szansa, dobre czy złe?

To jednak nie koniec: film uświadamia widzowi, jak wielkie znaczenie mogą mieć codzienne, drobne uczynki. Życzliwy uśmiech, dobre słowo, jałmużna – nie tylko dla osób nieznanomych (a więc obojętnych), ale również dla osób, za którymi nie przepadamy, mogą mieć naprawdę wielkie znaczenie i zmienić czyjeś życie.

Również Andie MacDowell nie jest tu jedynie po to, by młody mężczyzna mógł podziwiać jej urodę. Relacja granej przez nią bohaterki z Philem może posłużyć jako pretekst do pytania, czy w miłości chodzi o to, by zdobyć drugą osobę za pomocą przemyślanych sztuczek (i wiedzy, czy lubi hawajską), czy może o to, by stać się osobą wartą pokochania.

Niech Was jednak nie zmylą tak poważne rozważania, film jest cudownie lekki i zabawny. Jak każdy film z Billem Murrayem. Czyli mniej więcej tak zabawny, jak kropka na końcu zdania, które powinno być zakończone wykrzyknikiem.

Dajcie nam znać, co sądzicie o naszych typach! Może coś powinniśmy tu dodać? Jeżeli chcecie, by polecany przez Was film pojawił się w następnym takim zestawieniu – napiszcie swoją krótką recenzję na azymut.pismo@gmail.com!

Redakcja

Zastęp służbowy oddelegowany do poszukiwania artykułów w wartościowych miejscach, wypytywania władz o praktyczne porady oraz znajdowania odpowiedniego cytatu na dowolną okazję.